

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

17

Jest tu hałas, ruch, chaos, życie.
To jest dzień.

Ale oło dwunasta godzina wybiła już na wszystkich zegarach miasta. Słychać trzask zamkniętych sklepów, ciągnących się wydłużoną linią pod murami kamienic, tłum się rozbiegł za poszukiwaniem rozrywek gwar się zmniejsza, przechodnie stają się rzadsi, wszystko zapada w przedziwną jakąś ciszę, pełną tajemniczych drgań i szepków.

Oto noc!

Gdzieś w oddali zabłyśnie jeszcze migotliwe światelko w oknie szczytowej mansardy. czasem dobiegnie stuk młota zapóźnionego robotnika.

Ale miasto ani nie widzi ani nie słyszy już nic. Sen jego niespokojny jest, a jednakże głęboki. Zapada się w siebie, drętwieje, nie należy do świata żywego. Miasto zamarło dla ruchu i życia.

Wybija godzina pierwsza.

Godzina fatalna i pośonna.

Godzina rozpusty, gry i zbrodni.

W tej chwili Paryż cały jest własnością złodziei i zbrodniarzy, ci zaś własnością policji. Pozornie jednak niktby tego nie odgadł, bo Paryż to miasto kontrastów; zanikają tu różnice warstw społecznych, żebrak ociera się o bogacza, jednakowy, banalny typ domów ukrywa nierówności socjalne, bo nawet w najbogatszych domach, wystawionych według wszystkich wymagań nowoczesnej kultury, znajdują się przyziemne suferenty niedaleko błyszczących, wytwornych salonów, żyje tu zbytek, lekkomyślność, i nędza najsłabsza.

Jednakże pewne dzielnice zachowują swoją odrębną cechę, której napróżno szukano gdzie indziej.

Są to ostatnie, zamierające oznaki starego Paryża, które wzrastająca codziennie fala kultury i cywilizacji zmywa pomalutku, lecz wegetują one jeszcze i tworzą jedyny w swoim rodzaju obraz ilustrujący nocę paryską.

Jedną z osobliwości nocy Paryża jest niezaprzeczenie dzielnica Halle, której przedsiębiorstwa i sklepy, nigdy niezamykane, dają przystulek pewnej warstwie publiczności nadzwyczaj mieszaney. Spotyka się tu eleganckiego pana w towarzystwie robotnika w bluzie, słyszy się dosadny i oryginalny dyalekt języka, a pojęcia o wolności osobistej dojść mogłyby tutaj do ostatecznej krańcowości, gdyby nie argusowe oczy policji, śledzące bezustannie ten światek odrębny. Spokojny, zrównoważony mieszczuch niema nawet pojęcia o jego istnieniu.

Noc w Hallach rzeczywiście nie są pozbawione ciekawych motywów.

W parterowych ubikacjach obszernego domu mieszczą się całe tłumy ludzi spragnionych butelki dobrego wina. Gęsty, szary dym rozciąga się nieprzeniknioną opołą po sali, przytłaczając oddechy piących, a kiedy żywe światło gazu przedostanie się przez te gryzące chmury, można ujrzeć widok bardzo ciekawy i niezwykle.

Wszystkie twarze są tu blade, spojrzenia przyćmione. Można by sądzić, że się jest w palarni opium.

Niekiedy jednak błysk jakiś rozjaśni apatję spojrzenia, jakieś usta zadrzą nerwowym skurczem i człowiek jakiś, chwiejący się na nogach, powstaje. Po chwili jednak chód nabierze pewności, życie powraca do zmarłałej twarzy, krew uspiona krążyć żywo zaczyna w zgrubiałych żyłach. Człowiek ten patrzy ponuro z pod brwi krzaczastych, wyraz dzięki zwierzęcości kryje się w zaciśniętych ustach. Płaci i wychodzi, nie zwracając uwagi na nikogo.

Takiego człowieka strzedz się powinien spokojny, łatwowierny burżuj paryski. Niema on spokojnego sumienia. W zadymionym kabarecie nabrał on nowych sił do swojego nocnego, niebezpiecznego procederu.

Inny znowu widok dają nam wyższe piętra domu.

Jest to może ten sam tłum, ale otoczenie inne. Z odosobnionych gabinetów dobiegnie od czasu do czasu wybuch krzykliwego śmiechu, dźwięk kieliszków i głosy rozbawionych męż-

czyn, przeplatane bulwarową piosenką. I podczas kiedy tam, na pierwszym piętrze, wesoła piosenka dźwięczy coraz głośniejszą i swobodniejszą, kiedy szmery, dochodzące z dołu, zamierają w oparze trunków, obciążających zmęczone umysły, z jakiegoś tonącego w ciemnościach zaułka ulicy wzniesie się krzyk ostry i donośny i dobiegnie głuchy łoskot ciała upadającego na ziemię.

Często bardzo jest to bójka rywalów, niekiedy morderstwo. Bo trzeba pamiętać, że zbrodnia bezustannie krąży koło tych domostw wesołości i szalu i zgubionym jest ten, kto pokazał lekkomyślnie sąsiadowi swojemu trzoz wypchany złotem lub zabłysnął przed jego oczami ponętym brylantem złotego pierścienia.

Sasiad, to zazwyczaj jeden z tych, co przed chwilą w ponurem milczeniu powstał od wypchniętej butelki wina i nie zwracając uwagi na nikogo, wyszedł na ulicę.

On dojrzał już wszystkich. Więcej tu czasu tracić nie będzie. Pójdzie tam, gdzie oczekują na niego niecierpliwie.

Obraz ten, rozłożony teraz przed naszymi oczami, to jednak tylko obraz Paryża, uczeszanego i znanego wszystkim, żyjącego pod ochroną policji.

Ale co powiedzieć o tych norach strasznych, istnych śmiertelnych pułapkach dla ludzi.

W owej godzinie, kiedy spokojny mieszkaniec Paryża zasypia snem sprawiedliwego, życie w tych mordowniach wręcz zaczyna w całej pełni.

A jaskiń tych, gdzie miękkie dywany tłumią rozmyślnie szelest kroków, gdzie stoliki do gry zastawione są w obfitości a wokoło krążą kobiety o bardzo podejrzanym wyglądzie, jest bardzo wiele.

Ten, który do nich lekkomyślnie zabłąka się, uczynił pierwszy krok do ruiny swojej i już iść będzie dalej szlakiem zbrodni, lub drogą prowadzącą do więzienia.

Czyż to życie, pełne niepokoju i gorączki, ten wieczny ruch, to podniecenie, które zauważyć można przy zbliżaniu się seryi zimowych zabaw, czyż to nie jest znakiem jakimś szczególnym, wskazówką?

„Tańczymy na wulkanie” — powiedział jeden z ministrów przed wybuchem rewolucji.

Tańczymy ciągle bezustannie, bez zmęczenia, a wulkan nie wypalił się jeszcze.

Obok nas przewija się falami sztuczna wiosna, sztuczne światło, sztuczny rozum i dowcip.

A w głębi tego wszystkiego znajdziemy pustkę, nicość, ludzkość bez należytego pogłębienia, bez przekonania i wiary.

I podczas kiedy tłumy te, dotknięte szaleem, obracają się jak nakręcone maryonетки w tłumie różnokolorowych światełek i kłamstwa, nie myśląc o dniu jutrzejszym, gdzie ukrywają się ci pionierzy przyszłości lepszej, jakie są ich marzenia, jakim tajemniczym, ukrytym pracom oddają się w cichości? Bo przecież żyją gdzieś, na jakimś cichym, zapadłym zakątku ziemi i sprawiedliwość jest z nimi.

Dla tych niezmordowanych poszukiwaczy, dla nich tylko jedynie, życie pogodne jest i spokojne, odgłos krzykliwych hałasów nie może ich dosięgnąć, zgiełk legł pokonany u ich stóp, a umysł ich, wolny od wszelkiej gorączki, bada niezgłębione słowo zagadki ludzkiej.

Niechaj ciała poruszają się w szalonym tańcu, niechaj gorączka przepala arterie ciała socjalnych. Jest to bez znaczenia.

Mózg myśli i pracuje! On to szuka i znajduje tę przyszłość błogosławioną, którą duch przygotowuje dla zreformowanej ludzkości.

Don Lopez trwał długą chwilę w niemej kontemplacji i całe światy myśli i wrażeń napływały do jego duszy, aby zamącić jej równowagę.

Kiedy oderwał się od tego wewnętrznego zapatrzenia się, twarz jego była bledsza, a głębsza zmarszczka łobila jego wysokie czoło. Potrząsnął głową silnym ruchem, jak gdyby chciał otrząsnąć się z ponurych myśli i powrócił do towarzysztwa.

W salonie bezmyślna wesołość doszła już do najwyższego szczytu. Czas był najwyższy, aby dać znak do rozejścia się. Lopez więc przybył w samą porę.

Oktawiusz Gaudin leżał na kanapie paląc cygaro, otoczony kobietami, które usilnie zabiegały o jego względy.

Judytka zaś, wsunięta całym ciałem w głęboki fotel, flirtowała zawzięcie z obiecującym młodzieńcem ze złotym monoklem w oku, prze-

widując w nim rychłego następcę niewiernego przyjaciela.

Ujrawszy Lopeza, Oktawiusz powstał i podszedł do niego.

— Jest to moja ostatnia noc zupełnej wolności — wyrzekł ujmując go za rękę — i wdzięczny panu jestem, żeś zechciał być świadkiem tej uroczystej chwili.

— Przynajmniej spędził pan tę noc wesoło — zauważył Lopez, uśmiechając się lekko.

Oktawiusz wzruszył ramionami. Ujął Lopeza pod ramię i zaciągnął go do zacisznego kąta w salonie.

— Czy pan naprawdę sądzi, że jestem wesoły — zapytał szczególnym tonem.

— Wygląda pan przynajmniej na takiego, a to już wiele — odparł Lopez.

— To jest tylko maska.

— Jakto?

Oktawiusz uśmiechnął się.

— To szczególne jednak podjął po chwili — Znam pana tak mało, panie Lopez, a jednak wzbudza pan we mnie wielkie zaufanie.

— Pan zanadto łaskawy dla mnie — odpowiedział z lekką ironią Lopez.

— Nie... nie... Pan żył wiele, to się widzi i czuje. Posiada pan wielkie doświadczenie i znajomość ludzi i życia. Wyznaję panu z całą szczerością, że nie wiem jeszcze, czy nie popełnię wkrótce wielkiego głupstwa.

— Co znowu?

— Pana to dziwi?

— Zapewne.

— W dawnej mojej sytuacji — mówił dalej Oktawiusz — czułem się zupełnie szczęśliwy.

— Cóż z tego wynika?

— To, że obawiam się, że stan ten się zmieni, kiedy tę sytuację zamienię na inną.

— Doprawdy! — zawołał don Lopez, przyglądając się bacznie narzeczonemu Sylwii.

— Czyż to nie szaleństwo z mojej strony, to dążenie do zmiany? Jak się panu zdaje?

— Może.

— Niech mi pan na to odpowie szczerze — nalegał młody człowiek, podając rękę Lopezowi. Ten zastanowił się chwilę.

— Jeszcze nie ma nic straconego — odezwał się po chwili — przecież się pan jeszcze nie ożenił.

— Ale pragnę tego.

— Kto wie!

— Pan w to wątpi?

— Należy zawsze na początku wątpić o każdej rzeczy, aby później być dobrze przekonanym, że się w coś przecież wierzy — wyrzekł Lopez poważnie.

— Czy to jest pana sposób zapatrywania się?

— Tak. Stosuję go dotąd dosyć szczęśliwie i nie pomyliłem się na nim.

— Do diabła! — zaśmiał się Oktawiusz. — Należy pan widocznie do ludzi silnych.

— Robi się co można, mój przyjacielu, a najlepszym jeszcze sposobem jest robić to, co się powinno.

— Czy sądzi pan, że jakaś nieprzewidziana

i nagła okoliczność może wpłynąć na zerwanie mojego małżeństwa z panną Sylwią de Compans?

— Obawiam się tego.

— Ależ to niemożliwe! — obruszył się Oktawiusz niespojinie — to niemożliwe!

— Wszystko jest możliwe na świecie, bo wszystko zależy od ślepego przypadku.

— Niech się pan jaśniej wytłumaczy, proszę — rzekł Oktawiusz nienawym głosem.

Lopez miał zamiar odpowiedzieć, ale w tej chwili do salonu weszła służąca. Trzymała list w ręce i podeszła z nim do swojego pana.

— List — szepnął Gaudin, wstrząsając się mimowoli. — List do mnie, co to ma znaczyć?

Drżącymi rękami ujął kopertę. Zaadresowana była ręką kobietą. Gaudin rozerwał ją szybko i zaledwie rzucił spojrzenie na pismo, kiedy lekki okrzyk wybiegł z jego piersi.

— Co się stało? — zapytał Lopez.

Oktawiusz spojrzał na niego z przerażeniem.

— Czy pan jest czarodziejem? — wyszeptał z trudem. — To szczególne.

— Skąd to pytanie? — zapytał don Lopez, przybliżając się do niego żywo.

— Bo ten nieszczęsny list zgadza się z przepowiednią, którą pan wygłosił przed chwilą.

— A więc zaszła jakaś przeszkoda do zawarcia małżeństwa pana, czy tak?

(Ciąg dalszy nastąpi.)